

Dariusz Wiśniewski

**Jak zgubić 15 kg
napędzając swoją duszę.**

Moja droga miecza do Santiago de Compostella



Dariusz Wiśniewski

„Jak zgubić 15 kg napełniając swoją duszę. Moja
droga miecza do Santiago de Compostella”

Copyright © by Dariusz Wiśniewski, 2015

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o., 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski

Projekt okładki: Robert Rumak

Korekta: Paweł Markowski

Ilustracje na okładce: @ alphaspirit – Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-427-0

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin

tel. 63 242 02 02

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

A On rzekł do nich: Pójdźcie wy
sami osobno na miejsce pustynne
i wypocznijcie nieco! Tak wielu bowiem
przychodziło i odchodziło, że nawet na
posiłek nie mieli czasu.

Mk 6,31

Zamiast wstępu

Drodzy czytelnicy, nie będzie to typowy przewodnik po drodze francuskiej z Saint Jean Pied de Port do Santiago de Compostela, choć będą opisane wszystkie etapy, które przeszedłem pieszo, miejsca noclegowe, podane ceny i inne przydatne informacje (przynajmniej mam taką nadzieję), ale przekażę Wam moje przeżycia, gdy pewnego lutowego dnia roku pańskiego 2015, zdecydowałem się wkroczyć na Drogę Miecza, jak nazywana jest droga do Santiago de Compostela (w odróżnieniu do Drogi Serca – Rzym, czy Drogi Duszy – Jerozolima) i stać się peregrino, czyli pielgrzymem, pokonując 775 kilometrów, docierając po 36 dniach drogą francuską do grobu św. Jakuba. Niemiecki poeta Goethe stwierdził, że świadomość europejska zrodziła się w pielgrzymowaniu do grobu apostoła Jakuba. A święty Jan Paweł II w swoim kazaniu w dniu 9 listopada 1982 r. w Santiago de Compostela – pierwszy papież, który przybył do tej Katedry – powiedział:

Tu przybywali z Francji, z Włoch, z Europy Środkowej, z krajów nordyckich i z narodów słowiańskich chrześcijanie wszelkich stanów: od królów, aż po najskromniejszych wieśniaków, chrześcijanie wszelkich poziomów duchowych: od świętych, jak Franciszek z Asyżu czy Brygida Szwedzka (nie mówiąc o tylu innych świętych hiszpańskich), aż po publicznych grzeszników czyniących pokutę.

I ja, prawie 50-letni grzesznik, (bo kto nie grzeszy?), wyruszyłem w tę drogę.

Czyli postanowione! Zdecydowałem się. Niedługo stuknie mi 50 lat, dusza przez ostatni rok poraniona przez różne wydarzenia dziejące się dookoła mnie. Niosę krzyż, ale czuję, że samą siłą fizyczną go nie udźwignę. Muszę wyruszyć, żeby walczyć ze swoimi lękami i stawić czoła demonom. To dlatego drogę, którą podejmuję, zwą również Drogą Miecza. Miecz, od którego zginął pierwszy apostoł Jakub, stał się symbolem Świętych wojowników, rycerzy i walczących mężczyzn. Dziękować i błagać. Tyle i aż tyle. Sam, bo tylko wtedy będzie miało to sens. Mam dziesiątki pytań, jak i dlaczego? Ile razy jeszcze upadnę i czy sił starczy, żeby kolejny raz wstać? O nic nie obwiniam Boga, tylko chcę się spróbować dowiedzieć, dlaczego? I prosić Maryję o opiekę i pomoc w szczęśliwym pielgrzymowaniu. Niedawno przeczytałem książkę „Święta Siostra Faustyna i Boże Miłosierdzie”. Roman Kluska w jej posłowniu napisał, „że przechodząc bardzo trudny okres w swoim życiu, pomogła mu wyjść zwycięsko z tej próby książka o Bożym Miłosierdziu”. Wierzę i mam nadzieję, że ta droga, w którą się wybieram, również pomoże w mojej próbie. Otuchy dodaje św. Jakub:

...Za pełną radość poczytujcie to sobie, bracia moi ilekroć spadają na was różne doświadczenia. Wiercie, że to, co wystawia waszą wiarę na próbę, rodzi wytrwałość. Wytrwałość zaś winna być dziełem doskonałym, abyście byli doskonali, nienaganni, w niczym nie wykazując braków...

Martwi mnie tylko to, że tyle spraw niepozałatwianych i wszystko zostawiam na głowie mojej żony. Ale moja druga połowa wspiera mnie i mówi, że wszystko będzie dobrze, i że mam jechać. Troje moich dzieci też daje mi wsparcie.

Rodzice zaskoczeni, bo skąd nagle u mnie taki pomysł, ale błogosławieństwo i różańce na drogę dostają. Siostrę i przyjaciół informuję, że znikam na przeszło dwa miesiące. Ze sobą oprócz rzeczy osobistych biorę jedynie stary telefon z numerami do najbliższych i modlitewnik.

Przygotowania

W młodości byłem aktywny sportowo, teraz aktywnie oglądam sport w telewizji. A z marszów uprawiam spacerowanie na krótkie dystanse, dookoła miejsca, w którym mieszkam. No dobra, przed wymarszem przeczytałem w Internecie o Drodze. Znajomy przeszedł dystans ok. 200 km do Santiago de Compostela. Proboszcz podczas kolędy z pomocą Ducha Świętego otworzył Pismo Święte na fragmencie listu św. Jakuba:

...Prawdziwa mądrość

Kto spośród was jest mądry i rozsądny? Niech wykaże się w swoim nienagannym postępowaniu uczynkami dokonanymi z łagodnością właściwą modrości! Natomiast, jeżeli w życiu w sercach waszych gorzką zazdrość i skłonność do kłótni, to nie przechwalajcie się i nie sprzeciwiajcie się kłamstwem prawdziwemu!

Nie na tym polega zstępująca z góry mądrość, ale mądrość ziemską, zmysłową, szatańską.

Gdzie, bowiem zazdrość i żądza sporu, tam też bezład i wszelki występki. Mądrość zaś [zstępująca] z góry jest przede wszystkim czysta, dalej skłonna do zgody, ustępliwa, posłuszna, pełna miłosierdzia i dobrych owoców, wolna

od względów ludzkich i obłudy. Owoc zaś sprawiedliwości sięją w pokoju ci, którzy zaprowadzają pokój...

Młodszy syn kilka dni temu znalazł w domu breloczek z muszlą i mieczem czerwonym z napisem z tyłu św. Santiago, choć nikt nie wie, skąd się u nas wziął. O – to Znaków już chyba wystarczy.

Ale jak dotrzeć do miejsca rozpoczynającego pierwszy etap? Jest luty. Nie tak łatwo wszędzie dolecieć. Decyduję się na autobus, przecież nigdzie mi się nie spieszy. To czas tylko się spieszy. Jest, z Poznania do Bayonne (Francja). A stamtąd pociągiem do Saint Jean Pied de Port. No, to teraz pozostaje tylko potrenować. Śnieg na dworze, to zimowe buty jak znalazł, pomyślałem, i w drogę. Przeszedłem 17 km ledwo powłócząc nogami i zaraz narobiłem sobie pęcherzy na nogach, że ho, ho. Nieźle, pomyślałem. Gdzie ty chłopie chcesz przejść 800 km? – Dobra, rzucam się do netu, ok., już wiem, jakie mam mieć buty. Idę do znajomego, który prowadzi sklep ze sprzętem sportowym, nabywam odpowiednie. Kilka dni pochodzę i się rozejdą. Dalej czytam rady, że waga plecaka nie powinna przekroczyć 10% wagi ciała. He, he, to dobrze, myślę. A, że ważę 97 kg, to naładuję, bo tyle jeszcze mam na stole do wpakowania. Wyszło pewnie ok. 14 kg, bo sam plecak też trochę waży. Sprawdzę, co i jak. Gdy zarzuciłem na ramiona, to mnie lekko ścięło, no, ale do odważnych świat należy, pomyślałem.

Dojazd

Wyjeżdżam w poniedziałek. Podróż autobusem, to jazda i jazda. Nocka na autobusowym siedzeniu połamała mnie lekko, choć było kilka przystanków w nocy. Po przekroczeniu granicy czeskiej, po stronie niemieckiej kontrola policji. Ponad godzina postoj. Sprawdzali te paszporty i sprawdzali. Ale w końcu okazało się wszystko w porządku. Pojechaliśmy dalej. Rozpiska, którą miałem, nijak się ma do wydrukowanego z internetu planu. Przesiadka w Zurichu, a następna w Genewie. Za oknem słońce i piękne krajobrazy, góry. Czy ja jadę w góry? Hm... Jezioro Genewskie za oknem. Pięknie położona jest Genewa. Kolejna przesiadka i w drogę. Po stronie francuskiej kolejna kontrola, tym razem policja francuska. Pies wprowadzony do autobusu szczeka, kogoś proszą o wyjście, czegoś szukają (broni, narkotyków?). Dwojgu każą wyciągnąć bagaże. Ciekawe, kiedy dojadę do Bayonne? – Wreszcie sygnał, wszystko w porządku, jedziemy. Do Bayonne mam dojechać o 4.15 nad ranem, a swój następny transport mam dopiero o 7.45, więc tak sobie myślę, że dobrze by było, żeby ten autobus się nie spieszył i najlepiej jak najpóźniej dojechał. Tak, abym jak najkrócej musiał czekać. No, to dojechał o 3.30. Mam farta, pomyślałem.

Wysiadam, biorę swój plecak i dodatkowe rzeczy, które mam ze sobą. Na dworze pusto, mróz i jedynie jakiś człowiek stoi na przystanku. Pięknie, co dalej? W odległości ok. 200 metrów widzę budynek, to chyba stacja PKB, przynajmniej miała być w tym miejscu, gdzie wysiądę z autobusu. Kolega z przystanku zagadał coś do mnie. Po francusku. Tośmy pogadali, pomyślałem. I grzecznie odpowiedziałem po angielsku,

bo coś tam w tym języku znam. Ale okazało się, że i on „coś” tam zna w tym języku. Poinformował, że pociąg nie kursuje do Saint Jean Pied de Port i jest komunikacja zastępcza, pokazując, gdzie staje autobus. A, i że stacja jest zamknięta w nocy, otwierają ją około 6 rano, no i zresztą wszystko jest teraz zamknięte. Miło mi się zrobiło, bo to oznaczało czekanie na mrozie ponad 2 godziny. Kolega składał mi jakieś propozycje, ale o 3.30, to nie bardzo... Podziękowałem i poszedł. Ironiczny głos w głowie drwił: Co, do łóżeczka byś poszedł, położyłbyś się? Nic z tego. Dobra, spadaj, dam radę, odpowiedziałem. Trochę skoków, przysiadów, ubieram czapkę, rękawiczki. Widzę, że zapaliło się światło w jakimś biurze przy stacji. Lecę tam, wchodzę. Widzę, że jest człowiek i ciepło płynie z wewnątrz. Pytam jednym tchem, czy mogę stać w korytarzu, bo zimno na dworze, aż otworzą dworzec, że jestem z Polski, pielgrzym i jadę do Saint Jean Pied de Port. On tak samo jednym tchem kazał mi wyjść. „No, to mam miłość bliźniego”, pomyślałem. Już sądziłem, że czeka mnie klęska, ale uratował mnie tej nocy kocyk, który zabrałem z Polski, choć miałem go nie zabierać. Pozwolił mi przetrwać najgorsze mroźne 2 godziny. Około 6 otworzyli dworzec i tak, w odrętwieniu na ławce w holu, bo drzwi rozsuwane i wiało, doczekałem, aż podjechał autobus. Okazało się, że u kierowcy biletu nie kupię (a kasy biletowe na stacji zamknięte), kazał mi iść do automatu. Oczywiście już zacząłem nosić na sobie i ze sobą to wszystko, co miałem ze sobą zabrane...I biegiem, bo za chwilę miał odjechać. Ze dwie próby, trochę nerwów i bilet się wydrukował – 10,10 euro. Uff, ciepło w autobusie, głowa leci z niewyspania, ale najważniejsze, że za ok. 1,5 godziny będę w Saint Jean Pied de Port.

Saint Jean Pied de Port

Autobus jechał biorąc liczne zakręty, góra, dół i tak na zmianę. Czasami wjeżdżając w ostry zakręt tak wąskiej drogi, że podziwiałem kierowcę, że o nic nie zahaczył. W niektórych miejscach droga przecinała się z torami kolejowymi trasy do Saint Jean Pied de Port, gdzie trwały prace remontowe. I tak sobie jechaliśmy, aż zobaczyłem na budynku stacji, przy której zatrzymał się autobus napis Saint Jean Pied de Port. Czyli jesteśmy na miejscu, pomyślałem. Bagaże w dłoń, plan miasta rozwieszony przy stacji, szukam na nim centrum i w drogę. Po około 10 minutach dochodzę do wysokich murów cytadeli i po raz pierwszy widzę strażkę i napis refuge (czyli miejsca noclegowe dla pielgrzymów, inna nazwa alberqua), w którym to kierunku mam zamiar się udać. Powoli wspinam się wąską uliczką Rue de la Citadelle, dochodząc do nr 55. Niestety, spotyka mnie rozczarowanie. Zamknięte, a na drzwiach informacja, że otwarte od 13, tymczasem mamy godzinę 9.30, a ja marzę o wykąpaniu się i odpoczynku. Wracam i widzę, że przy numerze 39 są otwarte drzwi, wchodzę. Dwoje uśmiechniętych starszych ludzi zaprasza mnie do środka. Pani pyta, czego się napiję, kawy czy herbaty, i żebym się częstował ciasteczkami. Ściągam plecak, starszy pan pomaga mi go położyć, i uśmiechając się pyta, ile waży, dopowiadając sobie, że zapewne 20 kg. Gwałtownie zaprzeczam, mówiąc, że nie, że 14. Ale on kręci głową, śmiejąc się. Okazuje się, że trafiłem do biura pielgrzymkowego, gdzie kupuję paszport pielgrzyma (Credencial del Peregrino) za 2 euro, który będzie towarzyszył mi od tej pory aż do Santiago de Compostela na każdym miejscu noclegowym.

Do tego dokumentu będą wbijane pieczętki. Pan wpisuje moje dane, pyta skąd jestem, jak przyjechałem i gdzie chcę dojść. Na ostatnie odpowiadam, że oczywiście do Santiago de Compostela. Widzę, że na stole leży mnóstwo muszli, takich, jakie noszą pielgrzymi przy swoich plecakach. Pytam, czy mogę kupić jedną, ale okazuje się, że mogę sobie wziąć za darmo. Pytają, czy już dzisiaj idę dalej, czy zamierzam się zatrzymać w Saint Jean Pied de Port. Mówię, że dzisiaj zostaję i że byłem pod nr 55, ale zamknięte, a tak marzę o odpoczynku. Radzą, żebym jeszcze raz tam poszedł, że mnie wpuszczą. Dodatkowo dostaję listę otwartych w lutym noclegowni na całej trasie, bo w tym okresie większość jest jeszcze pozamykanych, oraz mapkę pierwszego etapu, z ostrzeżeniem i zakazem, żebym przypadkiem nie wpadł na pomysł wybrania drogi do Roncesvalles przez Honto, d'Orisson, bo na trasie śnieg po pas, tylko szedł przez Valcarlos. Na koniec życzą powodzenia. Dziękuję i wracam pod nr 55. Okazuje się, że rzeczywiście wpuszczają mnie. Starsza pani mówiąca po francusku zaprasza. Wchodzę, jestem w kuchnio-jadalni. Przechodzimy dalej, po prawej toalety i prysznic, a dalej prosto sala z łózkami piętrowymi, ciepłutko. Pani pokazuje mi, żebym wybrał sobie łóżko i zostawia mnie samego. Dziękuję krótką modlitwą za szczęśliwe dotarcie, wysyłam sms-y do rodzin i po relaksującym prysznicu wyciągam się szczęśliwy na moim łóżku. Oprócz mnie jest jakiś gość, silnie kaszlący. Wnioskuje z rozmowy, jaką prowadził z hosteleros, że się rozchorował i chce tu zostać jeszcze ze dwa dni. Za dużo emocji we mnie, więc leżenie trwa dość krótko. Idę się przejść po miasteczku. W oddali widzę szczyty górskie, a tu główna ulica, wzdłuż której położone są sklepy i restauracja, bar, stara,

zabytkowa część miasteczka, w której się zatrzymałem. Robię kilka zdjęć, wchodzę do otwartego kościoła i powoli czuję, że ogarnia mnie spokój, o jakim marzyłem od roku czasu. Wracam powoli pod górę wąską, brukowaną uliczką do mojego dzisiejszego miejsca zakwaterowania. Widzę z góry, jak w restauracji ludzie spożywają posiłek. Zimny wiatr wieje mi w twarz, ale w tym momencie zupełnie mi to nie przeszkadza. W kuchni czeka już pani, która prosi o mój credential, wbiła mi do niego pieczętkę i kasuje ode mnie 10 euro za spanie i śniadanie. Robię sobie jedzenie, pani robi mi herbatkę i tak siedzimy sobie we dwójkę. Powoli noclegownia zapęłnia się. Docierają Koreańczycy, Szwedka, Hiszpanie, Francuz, Czech – rowerzysta. Mówi mi, że mieszka we Wrocławiu i od ponad pół roku jest już poza domem. Zaczął od Holandii, potem Belgia, Luxemburg, przejechał całą Francję od lewa do prawa, gdzieś tam się zatrzymał na tydzień, pracując za wikt i opierunek. Teraz jedzie do Fatimy, a w Santiago de Compostela już był, podobnie jak w Rzymie, pokazując mi dokument, że był na audiencji u papieża Franciszka. Teraz trochę ma jechać szlakiem do Pampeluny, a potem już na skos do Portugalii. Nie pytam kim jest i co robi, zresztą tak jest i potem na całej drodze, jak ktoś chce to mówi, jak nie, to nie, szanuje się prywatność tej osoby. Wieczorem zmienia plany, chce jechać górą, przez Bilibao, San Sebastian i potem w dół. Powoli zbliża się godzina 22 i za chwilę zgaśnie światło w sali gdzie śpimy (tak jest we wszystkich alberquach na całej trasie i obowiązuje wtedy cisza). A rano, generalnie do godziny 8.00, należy opuścić schronisko.

Etap I. 12 lutego 2015 r.

St. Jean Pied de Port – Roncesvalles – 28 km

Teraz już wiem, że jak z daleka widać na trasie góry, wzniesienia, to oznacza, że musisz się z nimi zmierzyć już, albo w niedalekiej przyszłości. Ale zacznijmy od początku.

Noc minęła wyjątkowo szybko, już po 6 rano zaczęły się kręcić po sali pierwsze osoby, po prawda po ciemku, (bo światło wolno zapalić dopiero po godzinie 7), ale i tak szelest pakowania czy światełko małych latareczek wybiły mnie z resztek snu. Czyli, to już dzisiaj zaczynam prawdziwy pierwszy etap. Sam na drodze, pomyślałem. Nie to, żebym czuł jakąś obawę, bardziej była to ciekawość i niepewność. Co mnie czeka? Ale najpierw śniadanie. A na nim małe spięcie pomiędzy Czechem a Francuzem, którzy siedzieli przy stole. Dwoje innych wychodziło już na trasę, życzyliśmy im buen camino, jak tym powiedzeniem pozdrawia się pielgrzymów. Czech – rowerzysta przygotowywał sobie picie na drogę i chłodził je, gotując sobie dodatkowe ilości wody, a tutaj Francuz nie dość, że mu tę wodę zabrał, to jeszcze resztki gorącej wlał mu do dzbanka, gdzie była ta schłodzona. Trochę znam język czeski, to wiem, jaką wiązką słowną Czech go poczęstował, a dodatkowo słowo alkoholik znane jest chyba i w innych językach. ☺ Ale jak szybko doszło do spięcia, tak szybko sytuacja się uspokoiła. Samo śniadanie, tosty, płatki, mleko, kawa, dżemy, herbata, upływa dość szybko, bo każdy zajmuje się sobą. Potem pakowanie, śpiwór i wszystko, co wyciągnięte z plecaka dzień wcześniej, z powrotem do plecaka. Jak ja tego nie lubię robić. Spocony, o 8.40 w czwartek opuszczam schronisko,

w którym spałem. Lekko pada, szarawo jeszcze na dworze, po chwili dochodzę do drogi, gdzie rozchodzą się dwa szlaki. Ostrzeżony wcześniej wybieram drogę przez Valcalros. Modlitwa, w której dziękuję Bogu za otrzymane życie, przepraszam za wszelkie grzechy, świństwa, jakich narobiłem przez te lata, proszę Maryję o opiekę w drodze i szczęśliwe dotarcie do miejsca mojego noclegu. To będę powtarzał, każdego dnia rano. Idę, słońce zaczyna pięknie świecić, śnieg przy drodze ładnie się skrzy, plecak uwiera, ale pozytywna energia mnie niesie sama. Generalnie do samego Valcalros idzie się dobrze. Tam na ławeczce przed kościołem odpoczywam, soczek zabrany jeszcze z kraju plus rogaliki zrobione przez żonę. Pycha. Po chwili ruszam dalej. Idę według wskazówek camino, wszędzie są znaki lub żółte strzałki. Schodzę z drogi na trakt leśny, który zaczyna powoli pionowo prowadzić w górę. Słyszę jakieś krzyki w oddali, jakby ostrzegające mnie, ale nikogo nie widzę, więc idę dalej. Pojawia się śnieg, najpierw trochę, potem coraz więcej, w cieniu twarde, w słońcu nogi wpadają do niego, ślizgają się, a stopy wyginają. Boję się szczególnie o lewą, bo nie tak dawno miałem uszkodzą torebkę skokową, a droga już tylko w górę i w górę. Bolał mnie ramiona, plecak zaczyna mi przeszkadzać, pot zalewa oczy, oddech staje się coraz krótszy. Zaczyna się dla mnie koszmar. Śnieg, plecak ciąży do ziemi, a ja nie mam sił. Pionowa droga odcina mi prąd. Zwyczajnie nie mam siły iść pod górę. Pierwszy raz czuję fizyczną bezsilność. Dookoła nikogo.

Co mam robić? Do głowy wpada nawet taki pomysł, żeby jamę ze śniegu zrobić, odpocząć przez noc (zapalki mam, to ognisko sobie zrobię) i rano ruszyć dalej. To chyba z niedo-
tlenienia mózgu masz takie pomysły, wściekam się sam na

siebie. Bezradny jak dziecko, modłę się. Po chwili słyszę jakies kroki i pojawia się mężczyzna. Pyta prostym angielskim, dokad idę. Mówię mu, że ciężko. Pyta czy idę do Santiago de Compostela? Coś tam bąkam w odpowiedzi, wzruszając ramionami, bo w tej chwili to chce mi się zwyczajnie wyc z bezsilności i najchętniej to chciałbym, aby ktoś zwyczajnie mnie stąd zniósł, zabierając ten „kamienny”, ciężki plecak. Pytam, czy widział kogoś po drodze i czy słyszał krzyki. Odpowiada, że nie. Mówi, żebym wrócił do miejsca skąd wszedłem na ten trakt i dalej szedł drogą. Jezu, człowieku – myślę, to dodatkowe 4–5 km razem. Potem mówi mi, że jak pokonam najtrudniejszą drogę na Camino, to dojdę do samego Santiago de Compostela. Życzy mi powodzenia i odchodzi do góry. Nigdy go więcej nie zobaczyłem, choć wielu ludzi spotykałem wielokrotnie podczas swojej drogi. Po chwili znika mi z oczu, choć droga jest prosta, a widoczność doskonała. Nie wiem, co mam o tym myśleć. Próbuje jeszcze chwilę do góry, ale bez szans i postanawiam za radą Opiekuna wracać do drogi. Ten powrót powoduje, że zaczynam rozumieć alpinistów (albo tylko tak mi się wydaje), rezygnujących z wejścia kilkanaście metrów od szczytu, czy też brutalne, samotne zejścia na dół, kiedy zostawia się partnera samego. Bo kiedy nie masz sił, to jesteś w stanie pomóc tylko sobie, albo zostajesz w górach na zawsze. Więc wracam, żaląc się, że dokładałam sobie te 4–5 km dodatkowo. Wreszcie dochodzę do drogi i zaczynam mozolną, tępą wspinaczkę. Mijają mnie trenujący kolarze. Majka, szacun, pomyślałem wtedy. Kolarstwo to ciężki sport, a etapy w górach to już mega wysiłek, a ktoś, kto jeszcze je wygrywa, tak jak Majka w zeszłym roku na Tour de France, wzbudził na tej drodze

mój podziw. Idę i idę cały czas do góry. Jestem sam ze swoimi słabościami, ale muszę iść. Mówię do siebie, że ten plecak, który wpija mi się boleśnie w ramiona i przygniata, to moje całe dotychczasowe życie. Więc muszę je unieść i donieść, i nikt i nic mi w tym nie przeszkodzi. Proszę Maryję o pomoc, o to, bym doszedł. Boga pytam, co jest celem dla mnie? Czuję ból w każdej części ciała, stopy wręcz parzą. Już wiem, rozumiem, że to próba, walka Dobra ze Złem, które są we mnie. Gdy zło dochodzi w rozmowie do głosu, mówię STOP i zaczynam modlitwę do Matki Boskiej. I tak maszeruję, wspinając się do góry. W oczach staje mi napis u syna na Facebooku: NSNP, czyli nigdy się nie poddawaj, zresztą sam moje dzieci tego uczyłem, czy też zawodników w klubie sportowym. Nigdy się nie poddawaj, bo życie nie jest usłane różami, ale trzeba pamiętać, że jutro także jest dzień. Więc warto żyć, bez względu jak cię opluto, niszczono, jak często upadałeś, czy to było raz, czy więcej. Tu, na ziemi, życie, które otrzymałeś jest największym dobrem i masz je nieść z godnością do swojego końca. I tak sobie prowadzę dialog, może wtedy jeszcze monolog, i stopa za stopą idę drogą. Po drodze mijają mnie samochody. Pokusa jest ogromna, żeby machnąć ręką. Wreszcie o 17.40, po 9 godzinach wędrówki dochodzę do zasypanego całkowicie śniegiem klasztoru w Roncesvalles. Olbrzymi klasztor, a ja po nerwowym szukaniu (szybciej, bo nogi pieką) znajduję miejsce noclegowe. Płacę 6 euro, dostaję pieczętkę do paszportu i idę do sali, gdzie wybieram swoje łóżko. Jedyne problemy, że w tym alberque nie ma kuchni, więc sobie nic nie zrobię do jedzenia i nic ciepłego nie wypiję. Ale w tym momencie to jest najmniejszy problem. Razem ze mną doszło

dwoje osób, młody Koreańczyk, który był w poprzednim alberque i nieznaną mi Hiszpanka. Buty z nóg i pod prysznic. Ulga dla ramion. Spoglądam na swoje stopy. Jedna wielka tragedia. Przy kostce wręcz balon nabrzmiały krwią, pęcherze na obu stopach, a mały paznokieć odpadnie pewnie na następnym etapie. Ale w ogóle mnie to nie interesuje, czuję wielką radość z dojscia. I cały czas mam w głowie słowa: „przejdiesz ten etap, dojdiesz do Santiago de Compostela”. Te słowa, to jest jak nowa dawka adrenaliny, tłumi ból ramion, stóp i całego ciała. Leżę, wchodzą następne dwie osoby, Hiszpan i Hiszpanka, to jest już nas pięcioro. Azjata jęczy, że jest głodny i mówi, żebyśmy poszli do baru w wiosce. Jeść to mi się ze zmęczenia nie chce, ale pić już tak, szczególnie, że całe zapasy wody, co do kropelki wypilem na trasie. Idę, a raczej kuśtykam, achileasy dodatkowo dają znać. Niestety, o tej porze w barze jeszcze nie mają nic ciepłego do jedzenia. Barman mówi Koreańczykowi, żeby przyszedł po godzinie 20, to coś dostanie, ja tymczasem zamawiam piwo (0,2 l), potem drugie, płacę za te maluszki razem 4 euro, to będzie moja obiadokolacja tego dnia. Wracamy i z powrotem do łóżka. Nagle drzwi naszej sypialni się otwierają i wchodzi, a wręcz wpada do środka Włoch (jak się następnego dnia dowiedziałem), z wyrazem twarzy, który mówi wszystko. Ból, oczy zamglone, jedzie na ostatnich rezerwach, pomyślałem. Patrzy, gdzie jego łóżko, rzuca na nie śpiwór i w ubraniu, tak jak wszedł, wsuwa się do niego, momentalnie zasypiając. Ani mycia, nic. Tak, ten etap dał mu się we znaki. To był ostatni tego dnia pielgrzym, który dotarł do schroniska. Odpoczywając, przypominam sobie, że jak przyszedłem, to w kancelarii było napisane, że o godzinie 20 jest odprawiana msza

za pielgrzymów ze specjalnym błogosławieństwem. Godzina 20 się zbliża, Koreańczyk i Hiszpanka poszli już do baru na kolację, a ja biję się z myślami: iść na mszę czy nie. Kurczę, taki jestem zmęczony, nogi bolą, wyziębiony, kościół pewnie zimny, bo mury wszędzie tu grube i wysokie, odpocznę, mówi jeden głos. Ile razy się modliłeś dzisiaj do Matki Boskiej, prosząc o dojdzie tutaj, pyta drugi. No tak, to prawda, pójdę podziękować. Idę, zimno, śnieg, cisza, szukam kościoła w klasztorze, a nikogo nie ma, aby zapytać. Wreszcie trafiam, wchodzę i ku memu zaskoczeniu w środku jest ciepłutko. Widzisz, już masz nagrodę, uśmiecham się do swoich myśli. Są nas trzy osoby, Hiszpan z alberque i jakaś kobieta, Hiszpanka (potem się dowiem, że to kustosz tego klasztoru). Trzech starszych księży prowadzi mszę, wymieniając, że uczestniczy w niej pielgrzym z Polski, a drugi z Katalonii (ważne dla nich są regiony, z których pochodzą), udzielając nam na koniec specjalnego błogosławieństwa na dalszą drogę do Santiago de Compostela. Po mszy pani kustosz uprzejmie zaprasza nas dwóch do zwiedzenia pomieszczeń. Freski na ścianach z XIII wieku, grobowiec z leżącym królem Nawarry i inne historyczne zabytki robią wrażenie, podobnie jak sam ogromny kompleks klasztoru. Przypomina mi się jeszcze „Pieśń o Rolandzie”, gdzie w zasadzce przygotowanej pod Roncesvalles zginął tytułowy bohater. Na zakończenie pytam kustoszki ilu księży tutaj mieszka i kto tym zawiaduje. Mówi mi, że tych trzech, co właśnie mszę odprawiało i że jest jeszcze dwóch pomocników. Kiwam z niedowierzaniem głową. Dziękujemy z Katalończykiem i wracamy do sypialni. Przed godziną 22 widzę, że budzi się Włoch, coś pije i idzie się wykąpać. Oczy mi się kleją. Zasypiam.